Przyjaciel Ludu.

Leszno **No. 40.** dnia 8. Kwietnia 1835.



Kollegium Pojezuickie w Poznaniu.

W czasie kiedy Marcin Luter, Kalwin, Zwingli i inni odrywali całe narody od kościoła katolickiego, zjawił się utworzony przez Ignacego Lojolę zakon jezuicki, który reformacyą w jednych krajach wstrzymał, w drugich ją wykorzenił, do innych nakoniec drogę jéj zagrodził. Większa część mieszkańców Polski chwyciła się w 16 wieku reformacyi. Duchowieństwo nadaremnie opierało się wszelkiemi sposobami jéj postępowi. Wiara katolicka chyliła się w tym kraju ku ostatecznemu upadkowi. W tak smutnym stanie kościoła katolickiego w Polsce, sławny Stanisław Hozyusz, biskup warmiński, wysłany na Sobór trydencki, miał sposobność we Włoszech poznania zbliska zakonu Jezuitów. Mąż ten bystrego i przenikliwego rozumu, poznał zaraz, że Zgromadzenie to mogło stan rzeczy kościoła polskiego naprawić. Powróciwszy tedy do ojczyzny, sprowadził Jezuitów z Włoch, założył im kollegium w Brunsbergu i opatrzył w dostateczne fundusze. Kollegium Brunsbergskie zaczęło niebawnie pożądane wydawać owoce. Adam Konarski, biskup poznański, nie mogąc oprzeć się szerzącym się w dyecezyi swéj nowym wyznaniom, postanowił z porady Wincentego Plotyna, Nuncyusza papieskiego przy dworze polskim, pójść na przykładem! Hozyusza. W roku 1570 sprowadził Jezuitów z Brunsberga do Poznania, i nakłonił miasto do tego, iż im kościół S. Stanisława, założony przez Jana Lubrańskiego dla xięży emerytów, z kaplicą S. Gertrudy, dwoma szpitalami, szkołą miejską, na cmentarzu kościoła P. Maryi Magdaleny stojącą, wraz z wszelkiemi przyległościami na wieczne czasy darowało. Konarski zaś oddal Jezuitom, za zezwoleniem Kapituły, cztery wsie do stołu biskupiego należące, jakoto: Zemsko, Kiełczewo, Bochlewo i Tokarki. Opatrzeni w te i inne fundusze Jezuici Poznańscy, wystawili sobie w roku 1572 kollegium, które musiało być dla nich za szczupłe i niewygodne. Przynajmniéj Jan Argentus, prowincyał jezuicki w Polsce, w znajomym liście swoim do Zygmunta III. o stanie rzeczy Jezuitów w Polsce, w roku 1615 pisanym, użala się na tę dwojaką niedogodność Kollegium poznańskiego. „Kollegium poznańskie“ — mówi — „najcelniejsze w Wielkiéj-Polsce, mogąc 60 członków wyżywić, zaledwie połowę téj liczby pomieścić w sobie zdoła; druga połowa zniewoloną jest mieszkać w domach, przy których stawianiu większy wzgląd na mury niż na wygodę ludzi miano.“ — Tak było w początku; ale gdy przez rozmaite darowizny, legaty i gospodarność Zgromadzenia ogromne summy się zebrały, gdy majątek jego z każdym dniem wzrastał, zaczęli Jezuici Poznańscy myśleć o rozprzestrzenieniu swoich gmachów. Zamysł ten przyprowadził do skutku rektór ich, Mateusz Bembus, jeden z najcelniejszych naszych mówców kościelnych. W roku 1622 zrobił układ z magistratem poznańskim, na mocy którego miasto ustąpiło Jezuitom dużego placu, rozciągającego się aż pod same mury miasta, na wschód i południe gmachów jezuickich położonego. Za dar ten obowiązali się z swojéj strony Jezuici wystawić basztę, wymurować kanał miejski, przez ich posiadłość idący, i mury miejskie, stykające się z ich ogrodem i zabudowaniami, w dobrym stanie utrzymywać. W kilka lat późniéj stanął na tym placu gmach, którego ogrom dziś podziwiamy, należący teraz jeszcze do celniejszych ozdób miasta Poznania. Jeszcze gmach ten nie był ukończony, gdy Jezuici postanowili wystawić nowy kościół w miejsce zbyt szczupłego dla nich kościołka St. Stanisława. W tym celu zrobili w roku 1625 powtórnie układ z miastem, które im ustąpiło placu za kościołkiem S. Stanisława, z strony ulicy wrocławskiéj leżącego, pod warunkiem, aby stojącą na nim kamienicę, należącą do Bractwa handlerzy śledzi, kupili. Nabywszy plac wspomniony, zajęli się Jezuici niebawnie stawianiem dzisiejszego kościoła farnego. Jak długo wspaniałą świątynię tę, należącą niezaprzeczenie do najpiękniejszych gmachów w dawnéj Polsce, budowali, nie mogłem dociec. Stała ona atoli już w pierwszéj połowie 17go wieku i miała niegdyś piękną kopułę, którą jéj obecnie JP. Stanisław Kolanowski, jeden z ekonomów kościoła farnego, mąż mający wielkie względem Poznania zasługi, przywrócić zamyśla. Świątynię tę stawiali miejscowi rzemieślnicy. Okoliczność tę wspominam dla tego, aby ci, którzy wspaniały przybytek ten pański oglądają, powzięli wyobrażenie, na jak wysokim stopniu udoskonalenia, sztuki i rzemiosła w Polsce jeszcze na początku 17 wieku stały. Pokryty jest miedzią; ściany jego wewnątrz mozajką pięknego koloru wyłożone: dwa rzędzy przepysznych słupów zajmują przyjemnie oko patrzących. Jak wszystkie dzieła ludzkie Kollegium jezuickie w Poznaniu, przetrwało rozmaite koleje. W wojnie szwedzkiéj za Jana Kazimierza dotknęły je wszelkie zgrozy nieprzyjacielskiego najazdu. Zakonnicy zniewoleni byli

szukać przytułku gdzie-indziéj, a Szwedzi, z nienawiści ku Jezuitom pastwili się nad golemi murami. Najpiękniejsze dolne sale zamienili w stajnie; pokoje na wyższych piętrach ogołocili z drzwi, okien, podłogi. Po ustąpieniu Szwedów z kraju, Drużbicki, rektór naówczas kollegium poznańskiego, przyprowadził z niezmiernym nakładem gmach ten do dawnego stanu. Po upadku Jezuitów, kollegium ich poznańskie stało się własnością rządową, i mieści dziś w sobie władze administracyjne. Nieraz w murach jego, zwłaszcza w nowszych czasach, przebywali potężni Monarchowie. W roku 1807 podpisanym w niem został traktat Poznański. Miejsce to, poświęcone niegdyś zaciszy zakonnéj, którą tylko dysputy i spory szkolne (częstokroć de lana caprina) przerywały, brzmiało w ostatnich czasach odgłosem rozrywek i zabaw światowych.

Gmach tak ogromny, jakim jest kollegium pojezuickie w Poznaniu, nie był bynajmniéj za obszerny dla tego Zgromadzenia. Przeznaczony bowiem był na mieszkanie przeszło 69 kapłanów, prócz kilkunastu braciszków, umiejących rozmaite kunszta i rzemioła, (jakoto malarstwo, snycerstwo stolarstwo, krawiectwo i t. p.) którzy w gmachu tym swoje warsztaty mieli. Nadto, mieściły się w nim następujące przedmioty. Niezmierna Apteka zakonna z laboratoryum i wszelkiemi potrzebnemi sprzętami. Drukarnia, którą Zgromadzenie około roku 1670 po Laktańskim, kapłanie świeckim, nabyło. Biblioteka nader liczna, która pomnażana przez przykupywanie nowych dzieł i darowizny (np. w roku 1570 od biskupa Konarskiego; w roku 1610 od miasta Poznania, które Jezuitom darowało bibliotekę kościoła P. Maryi Magdaleny z kilku tysięcy tomów złożoną) składała się w ostatnich chwilach istnienia Jezuitów z kilkudziesiąt tysięcy Tomów. Gabinety fizyki i historyi naturalnéj, pomnożone bardzo w ostatnich latach zakonu staraniem sławnego Józefa Rogalińskiego. Obserwatoryum astronomiczne z wszelkiemi, znanemi w ówczas, narzędziami astronomicznemi. Nakoniec szkoły jezuickie, które Jezuici przenieśli później do osobnego gmachu, umyślnie na ten cel wzniesionego, to jest dzisiejszego gymnazyum P. Maryi Magdaleny.

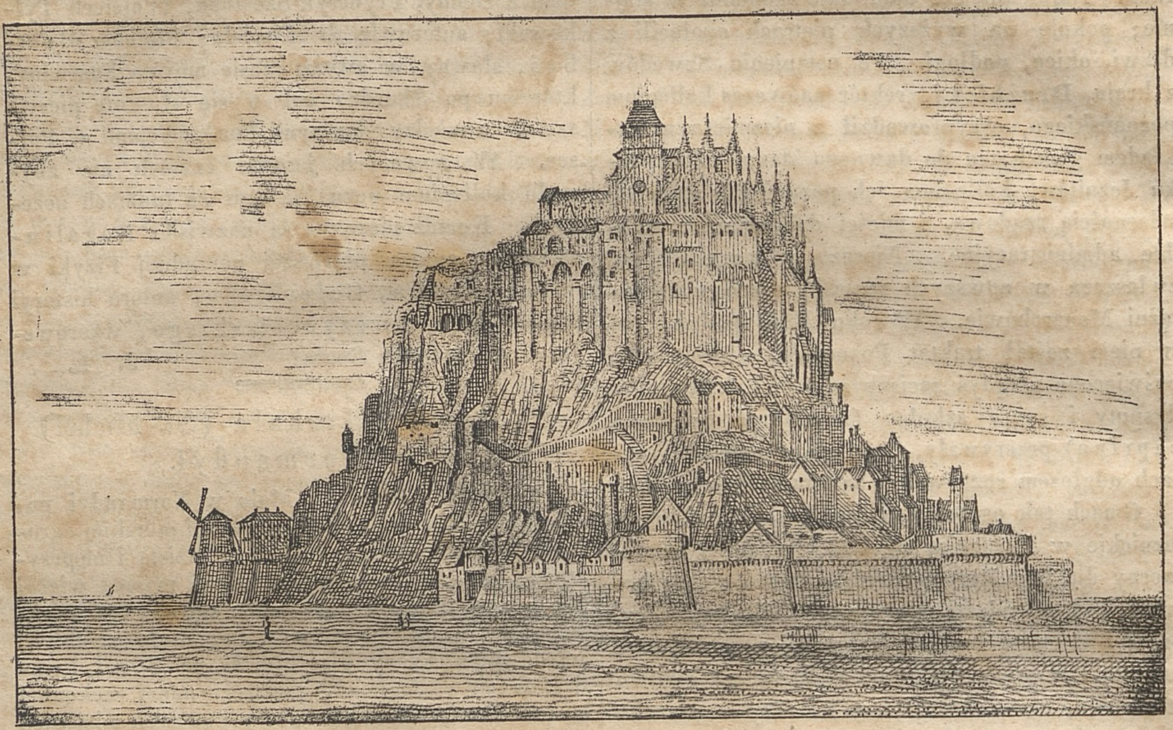
Kollegium jezuickie w Poznaniu wydało wielu uczonych ludzi. Pierwszym rektorem jego był sławny Jakób Wujek, biegły w języku greckim i hebrajskim, tłumacz na język ojczysty całego pisma świętego. W kollegium tem mieszkali: Artur Fauten uczony Jezuita, rodem z Anglii; Fabrycyusz Pallavicini, mąż z nauk sławny, rodem z Genuy, Fryderyk Szembek, Wojciech Tylkowski; autorowie dzieł wielu; Mateusz Bembus, sławny w swoim czasie mówca kościelny, któremu po Skardze należy się słusznie pierwszeństwo między dawnymi kaznodziejami w Polsce. W nowszych jeszcze czasach nie zbywało kollegium poznańskiemu na ludziach uczonych. Komuż nieznane są nazwiska Rogalińskiego, autora pierwszéj porządnéj Fizyki w języku ojczystym, Gołeckiego, autora historyi hiszpańskiéj, Gorczyczewskiego, wzorowego tłumacza satyr Boala? J. Ł.

Skała Śgo Michała (St. Michel) w Normandyi.

Nie daleko portu St. Malo w Normandyi postrzega wędrownik w głębi zatoki morskiéj ogromną skałę z granitu, zewsząd spadzistą i nieprzystępną, na 500 stóp wysoką, nie mającą więcéj jak cwierć mili obwodu: zdaje się ona być wieżą samotną, wznoszącą twarde swe czoło w obłoki wśród płaszczyzny piaszczystéj na 8 mil kwadratowych rozległości, poprzerzynanéj rzekami i strumieniami, których woda w pewnych miejscach w obszerne zbiera się jeziora: z tamtéj strony tych piasków widać obszerną, czarną morza powierzchnią. Tę całą nieprzejrzaną okiem płaszczyznę, aż do saméj skały, przybierające morze zalewa przez kilka dni na Nowiu i Pełni xiężyca. Pusta owa i nieurodzajna ziemia, przeznaczona z natury na schronienie drapieżnych ptaków, zdobytą została przez ludzi. Z zadziwieniem i przestrachem dostrzega oko wędrownika tu i owdzie na wzgórkach zawieszone domy, a na samym brzegu morza odkrywamy ów wspaniały pomnik sztuki i przemysłu człowieka.

Jeżeli kronikom i dawnym podaniom wierzyć można, była zatoka Śgo Michała, jeszcze na początku 8go wieku lasami okrytą, gdy znagła morze zalało całą okolicę, powywracało drzewa, i przykryło ziemię piaskiem: sama skała oparła się bałwanom. W téj epoce pobożna ręka zbudowała na jéj szczycie małą kaplicę: w następnych czasach niesłychaną pracą i nadzwyczajnym kosztem, wybudowano na tem miejscu klasztor, i w końcu 16go wieku ukończono owe ogromne budowy pokrywające dziś szczyt téj góry, a wykonane z podziwienia godną śmiałością i regularnością. Skała Śgo Michała jest naokoło murami otoczona, a nadto wieżami i basztami umocniona: główna brama prowadzi na dziedziniec z odwachem, gdzie podróżni rewidowani i rozbrojeni bywają. Przez drugą bramę wchodzi się do miasta Śgo Michała, w którém brudne i nędzne domy posępny przedstawiają widok: spadzistą nakoniec i krzywą ulicą przychodzi się

się do samego zamku i opactwa, którym tylko zewnątrz przypatrzyć się wolno. Zamek ten służy oraz za więzienie, i w ostatnich latach szczególniéj wiele więźniów tutaj osadzono.



Skała Śgo Michała w Normandyi.

Pomiędzy temi rozmaitemi budowlami z granitu, zasługuje szczególniéj na uwagę kościół obszerny, uchodzący za arcydzieło sztuki budowniczéj. Naokoło wieży, u samego prawie szczytu, umieszczona jest wązka galerya, którą nazywają przechadzką głupców, ponieważ trzebaby oszaleć, aby się tam odważyć. Na najwyższym punkcie tejże wieży jest teraz telegraf: pod kościołem są wielkie sklepienia, wydrążone w skale, a obszernością swoją i liczbą ganków przypominające labirynt starożytności. Pokazują nadto dwa głębokie podziemne lochy, w których podług podania osadzano więźniów stanu skazanych na najokropniejsce męki i zowią je: vade in pace (szczęśliwa podróż). Obok tych więzień, pokazują jeszcze trzecie, znane pod nazwiskiem klatki żelaznéj, w któréj zamykano na śmierć skazanych. Mowią, że jeszcze Ludwik XIV., kazał w niéj zamknąć sekretarza swego, nazwiskiem Doboury, za to, że się poważył satyrę przeciw niemu napisać i drukiem ogłosić. Nieszczęśliwy ten człowiek, dla skrócenia sobie nudów okropnych w tem strasliwem miejscu, z niezmierną pracą rysował gwoździem na kracie żelaznéj swego więzienia, różne figury: powiadają, że przed śmiercią, najwięcéj mu dokuczyły szczury, które wygryzły mu w kilku miejscach martwe od zimna i leżenia nogi, gdy on ani ruszyć, ani bronić się nie mógł. Wiele innych ofiar skończyło tutaj życie, a między innemi także jeden biedny poeta, co na Panią Pompadur uszczypliwe wiersze napisał. Okropna ta męczarnia nie dawno zburzoną została.

Widok zewnątrz jest czarujący: gmachy wznoszą się jedne nad drugie: kościół po większéj części wsparty jest na granitowych filarach, ale nieochędostwo, które się tutaj wszędzie spostrzegać daje, bije bardzo w oczy. Miasteczko liczy tylko kilkaset mieszkańców, trudniących się częścią rólnictwem, na odległych pagórkach, częścią handlem, rzemiosłami i rybołówstwem: z tych ostatni cały rok z żonami i dziećmi swemi po bagnach i strumieniach, któremi piaski te są poprzerzynane, łowią ryby i muszle: jeżeli na wiosnę lub w jesieni mgła ich tutaj zapadnie, jest zwyczajem na skale Śgo Michała i w okolicy dzwonić, aby rybacy wiedzieli, gdzie mają postępować.

Wilk.

Często zapytywaliśmy samych siebie, dla czego dotąd nikt nie opisał jeszcze sławnych wilków, tak jak opisują historyą sławnych psów. Czy rozumiano, że opowiadanie o spustoszeniach, rozmaitych rozbojach mniéj bawi czy-

telników, aniżeli pochwały godnego człowieka towarzysza, dającego przykład poświęcenia, uczucia lub też jakiego heroicznego czynu? Jeżeli jest rzeczą chwalebną ogłaszać piękne czyny, w nadziei naśladowania ich, nie mniéj jest rzeczą użyteczną odwodzić od występku, ukazując go w takiem świetle, któreby zarazem wznieciło w duszy nienawiść i okropność jego. Pewni jesteśmy, że takie dzieło byłoby bardzo pożądane: świadczymy się nienasyconą chciwością, z jaką wielka liczba czytelników chwyta to, co ich najbardziéj przeraża; pożerając, iż tak rzekę życia sławnych rozbojników, Kartuszów, Mandrynów i t. p. A więc i wilki także mają swych Kartuszów, swych Mandrynów, mogących z powyższymi pojść w porównanie.



W i l k.

Dziennik Paryzki z czasów Karóla VI. i Karóla VII. wzmiankuje o mnóstwie wilków i o ich zaciętości, jako o największéj klęsce, w téj nieszczęśliwéj dla Francyi epoce. Te żarłoczne zwierzęta, przyzwyczajone żywić się ciałami ludzkiemi, których wszędzie dostarczały ciągłe zabójstwa, straszliwie się rozmnożyły w okolicach Paryża, i szczególniéj na ludzi napadały, bez żadnéj obawy wkradając się po łup do miasta. W tymże więc czasie (wzmiankuje dziennik)

szczególniéj gdy król był w Paryżu, wilki były tak chciwe na ciała ludzkie, iż w ostatnim tygodniu Października udusiły i zjadły 14 osób dorosłych i dzieci, między Montmartre i bramą Ś^go Antoniego w winnicach, a napotkawszy trzody owiec, napadały na pasterzy, zostawując zwierzęta. Tenże sam dziennik wspomina o wilku straszliwym, najokropniejszym ze wszystkich, nazwanym kurtą, gdyż niemiał ogona. Wszędzie on roznosił postrach i śmierć. Mawiano do tych, którzy wychodzili w pole „Strzeżcie się kurty.“ Zjednał on sobie ogromną reputacyą: gadano o nim, mówi nasz Autor jak o strachu leśnym, lub o jakim okrutnym rozbojniku.

Ten wilk został nakoniec zabitym, a jego ciało obwożone po Paryżu, było przedmiotem ciekawości i podziwienia dla mieszkańców. Wilk ten lubo tak okropny, nie może jednakowoż iść w porównanie ze zwierzęciem Gewodańskiém, którego sława aż do naszych czasów doszła.

Było to w miesiącu Czerwcu 1764, gdy to dzikie zwierzę rozpoczęło swoje rozboje w lesie Merkoar i w okolicach Langogne, małém miasteczku Gevaudan. Bawiło tam 3 do 4 miesięcy, i pożarło kilkoro dzieci, przebiegło potem kilka parafiii sąsiedzkich, w których jeszcze pewną liczbę osób zamordowało, następnie poszukało sobie stałego siedliska około St. Alban, i tamże daléj szerzyło swe rozboje. Postrach był taki, iż wkrótce najdziwniejsze wieści o niém rozsiewano: utrzymywali niektórzy, iż wycie jego było całkiem różniące się od głosu wilka, a uczeni, nie wiedząc, do jakiéj klassy zwierzę to policzyć, przypuszczali, iż to była hyena, zbiegła z menażeryi króla Sardyńskiego: inni zapewniali iż to był potwór, pochodzący z niedźwiedzia i wilczycy. Już po kilka razy zakładano polowania na niego, lecz na próżno; potrafił on ujść szczęśliwie oddziałowi, złożonemu z 50 dragonów, któremu 1200 wieśniaków towarzyszyło: co więcéj, zapewniano, że w pięciu czy sześciu spotkaniach prawdziwych lub zmyślonych, strzelano do niego zbliska bez żadnego uszkodzenia. Wieści te utwierdziły wieśniaka w mniemaniu, iż czaruje broń i że go kula żadna nie zabije: niektórzy nawet słyszeli go rozmawiającego.

Co dzień jednak nowe ofiary dowodziły istnienia i srogości jego. Około miesiąca Października kazano ogłosić: iż ten, który uwolni kraj od téj plagi, dostanie 200 franków: a wkrótce potem stany Langwedockie przez obrady prywatne wyznaczyły na ten cel 200 liwrów, czującpotrzebę wzniecenia ostygłéj odwagi wieśniaków. Rozpacz pomiędzy ludem była nadzwyczajna, nie mogli już wcale znaleść pasterzy do paszenia trzód; ludzie z siedzib swoich nie śmieli inaczéj wychodzić, jak tylko gromadami, jarmarki i targi bywały prawie puste, a związki handlowe po części przerwane z przestrachu, jakim kupcy przejęci byli. Nakoniec w pierwszych dniach Lutego 1765 Biskup Mendejski nakazał publiczne nabożeństwo, aby niebo błagać o odwrócenie téj plagi.

Śmiałe napady tego okrutnego zwierza dały powód do kilku scen interesujących, i do okazania przytomności umysłu: z tych jedna szczególniéj na wzmiankę zasługuje ze względu na wiek napadniętych. Pięciu małych chłopców ze wsi Villaret, (trzej najstarsi mieli około dwunastu lat, a drudzy dwaj ośm do dziewięciu, nadto dwie dziewczynki prawie ten sam wiek mające) paśli sobie spokojnie bydło na wierzchołku góry: każde z tych dzieci miało do obrony kij oprawny w spiczaste żelazo na cztery palce długie. Okrutne zwierzę napadło ich znagła: spostrzegły się dzieci, gdy już wilk blisko nich był: chłopcy stanęli zaraz do obrony. Wilk obszedł koło nich dwa lub trzy razy, i nakoniec rzucił się na jednego malca: starsi natychmiast uderzyli na niego i zaczęli go żgać, lecz bezskutecznie; nie mogli bowiem jego skóry przebić. Jednakowoż drażniąc go coraz bardziéj, zmęczyli go nieco, tak, iż zdobycz swą z paszczy wypuścił, wyrwawszy jednak temu chłopcu cały prawie policzek. Wkrótce z nową zaciętością napadł na owe dzieci, złapał z nich najmniejszego, i uciekał trzymając go w paszczy. Dzieci poczęły uciekać; lecz najstarszy, ich dowódzca, zawołał, iż trzeba koniecznie ratować brata, lub z nim zginąć. Zaczęli więc gonić wroga i wpędzili go na błota, w które zwierz aż do brzucha wpadał, co jego szybki bieg wstrzymało i dozwoliło dogonić go. Dzieci usiłowały, kaleczyć go swem żganiem w głowę a najbardziéj w ślepie: jakoż udało im się po parę razy zgnąć go w paszczę, którą ciągle miał otwartą. Broniąc się, trzymał swą zdobycz pod łapą, nie uszkodziwszy jéj jeszcze. Nakoniec dzieci te drażniąc go z taką stałością i odwagą, znudziły wilka, tak, iż po drugi raz swą zdobycz wypuścił. Mały chłopczyk, który już był w mocy wilka, miał znaczną ranę w ramieniu, i na twarzy dość lekkie draśnięcie. Ta walka

gruchnęła po całéj Francyi; nagroda została wyznaczona dla tych dzieci przez samego króla; dzienniki i pisma rozmaite opisywały na wyścigi ich odwagę, a nawet znalazł się poeta, który na ich cześć piękne wiersze ułożył.

Od tego momentu o niczem nie mówiono tylko o wilku gewodańskim, i o osobach przez niego pożartych lub skaleczonych. Król nareszcie wzruszony tą plagą, dodał jeszcze do owéj wyznaczonéj nagrody 6000 liwrów, aby okolice oczyścić od téj straszliwéj bestyi. Wzięto się nakoniec do środków zaradczych. W miesiącu Lutym, 73 parafie Gewodańskie i 30 z Auvergne uformowały korpus, około 20000 ludzi, dowodzonych przez najbieglejszych strzelców. Zwierzę zostało odkryte; lecz ranione skryło się tak, iż go nie można było wynaleść. Po kilka razy robiono podobne polowanie, lecz zawsze bez skutku, raniono go dość znacznie, ale coż potém, kiedy wilk zawsze potrafił ujść śmierci. Tuszono sobie, iż może z ran odniesionych zdechnie, ale i ta nadzieja była próżną: nowe napady świadczyły o jego istnieniu. Wzięto się na inny sposób: po parę razy zatruwano trupów, które on był podusił, w myśli, iż się powróci do ich pożarcia; lecz i to równie się nie udawało. Łatwo wyobrazić sobie okropne położenie mieszkańców téj okolicy.

Po więcéj niż 40stu wielkich polowaniach, pomimo gorliwości i doświadczenia najbieglejszych strzelców, koniec téj plagi zdawał się być dalszym niż kiedykolwiek. Tyle próżnych usiłowań, tyle trudów daremnych! Strzelcy z różnych prowincyi, znudzeni nakoniec polowaniem bezskutecznym, popowracali do siebie.

Dla téj to okoliczności król nie chcąc opuścić prowincyi Gewodańskiéj, wystawionéj na taką klęskę, zadecydował posłać tam Pana Antoine wielkiego Łowczego z oddziałem strzelców Wersaljskich, z najlepszemi psami. Xiążęta poszli za przykładem króla, przyłączywszy wybór swych gwardyi do Strzelców królewskich.

Ten nowy orszak Strzelców przybył do Gevaudan w środku miesiąca Czerwca 1765. Polowania i zasadzki rozpoczęły się na nowo z wszelkim porządkiem; co robiło nadzieje, iż wkrótce ślady wilka odkryte zostaną. Jednakowoż pomimo ścigań nieustannych we wszelkich kierunkach, zwierz ten potrafił jeszcze błąkać się kilka miesięcy, nie będąc postrzeżonym, i napadał podług swego zwyczaju na dzieci i niewiasty, z których jedna zwycięzko się broniła, zadając mu raz bagnetem przymocowanym do kija. Kilka wilków, na konto zwierza Gewodańskiego szerzących spustoszenia, zostało pod czas polowania ubitych. Przyszła nakoniec i na niego kreska.

Łowczy królewski dowiedziawszy się, iż w Auwergne dostrzeżono wilka nadzwyczajnéj wielkości z wilczycą i kilku młodymi, udał się tamże z całym oddziałem i otoczył bory, podczas gdy inni strzelcy szlakowali go: jakoż stanąwszy na stanowisku, spostrzega wielkiego wilka nadchodzącego ścieszką. Łowczy wystrzelił natychmiast do niego z swéj rusznicy, nabitéj pięciu kulami i kartaczem, tak, iż sam przez ten gwałtowny impet o dwa kroki w tył odskoczył, trafił go w oko i w bok, upadł od razu; lecz po małéj chwili wstawa i bieży obces na Łowczego, nie dając mu tyle czasu, aby drugi raz flintę nabił. Tenże woła o pomoc, strzelec xięcia Orleanu przybiega, i wymierzywszy swym karabinem do wilka, trafił go w udo, poczem uszedłszy jeszcze kilka kroków, pada na ziemię i zdycha.

Zawołano natychmiast kilku chłopców z okolic, a ci uznali go być tymże samym, który od tak dawnego czasu rozsiewał postrach i trwogę pomiędzy nimi. Znaleziono także znaki od bagnetu, którym był pchnięty od owéj kobiety. A zatem już nie było powątpiewania, iż prowincya ta została od tak wielkiéj klęski uwolnioną. Zwierz ten po swéj śmierci miał 32 cale wysokości, trzy stopy obwodu, a pięć stóp i 7 cali długości, począwszy od końca pyska aż do końca ogona. Ważył 130 funt: Jego paszcza osadzoną była 40 kłami, 18 górą, a dołem 22, strzelcy osądzili, iż miał około ośmiu lat. Był to jednym słowem wilkołek postaci niezmiernéj, i przerażającego widoku, jak się można przekonać z wyobrażenia głowy jego, którą nasz rysownik oddał z podziwienia godnym wyrazem.

Na końcu dodajemy liczbę istotną tych, którzy zostali pożarci przez to okrutne zwierzę. Wyrachowano więc, pominąwszy wszelkie dodatki w podobnym razie, iż padło około 55 osób ofiarą, około 25 uszło śmierci, odniósłszy rany mniéj lub więcéj znaczne, do tych liczby rachuję tylko kobiety i dzieci aż do lat piętnastu.

Prf, a. M.

Poeci Perscy.

„Chcę być w domu samotny — któż się wchodzić waży?
„Człowiek z okiem ognistém, wybladły na twarzy:
„W prawéj ręce przed sobą ma papier skręcony,
„W lewéj kapelusz, strojny w spłowiałe galony
„Który znać panu swemu długie służy lata,
„I którym kłaniając się podłogę zamiata.
„Wszedł śmiało, prosto ku mnie zbliża się z pośpiechem,
„I nimem go mógł spytać, sam rzecze z uśmiechem:
„„Jestem improwizator, poeta — chciéj Panie
„„Przyjąć sonet, com zrobił na twe powitanie.
„„Dziwisz się, zkąd powziąłem wieść o twém przybyciu —
„„Panie! chwała nie może pozostać w ukryciu!
„„Ona cię poprzedziła, jak wschód słońca, zorza.
„„Italia się cieszy od morza do morza,
„„Z pożądanego gościa — i mnie za tłumacza
„„Obrała, przez którego cześć swą Ci oświadcza.“
Rzekł, skłonił się, swój sonet położył na stole,
I odszedł ucieszony, wziąwszy dwa paole.“

W tych słowach, poeta Angielski Rogers, opisuje z natury obraz improwizatora we Włoszech — kraju najpoetyczniejszym w Europie. Obraz ten z równą prawdą możnaby zastósować do Persyi — kraju najpoetyczniejszego na Wschodzie. Na całéj jego przestrzeni, rozproszone mnóstwo poetyckich żebraków, czatuje nie tylko na urzędników i bogaczów własnego kraju, lecz nawet na cudzoziemców, takich nawet, od których z pozoru nie wielkiéj za swe pieśni nagrody spodziewać się może. Naprożnoby kto znudzony ich natręctwem wymawiał się niewiadomością języka lub niechęć swą okazywał: nieustraszona zgraja nie ustaje w swych naleganiach, a najmniejsza okazana im uprzejmość, tém bardziéj ich jeszcze ośmiela. Pewien Anglik podróżujący w Persyi opowiada, że jeden z poetów téj klassy, przybył o 50 mil angielskich (10 mil naszych) w tym jedynie celu, aby mu wręczył odę na przybycie jego, dziwnie pięknym charakterem, na kolorowym pargaminie napisaną.

Istnienie tego rodzaju poetów jest zwykle skutkiem wielkiego niegdyś rozwinięcia się prawdziwéj poezyi w narodzie, i powszechnego w niéj upodobania mieszkańców. Persya równie jak Włochy, jest tego dowodem. Wszyscy najsławniejsi w literaturze wschodniéj poeci, byli rodem z Persyi; a wiersze ich równie są znane i lubione w pałacach królów, jak w najuboższych chatach wieśniaków. Potoczna nawet rozmowa w Persyi, tak jest często przeplatana przytoczeniami z rozmaitych poetów, iż musiałaby się w końcu stać prawdziwie nieznośną, gdyby te przytoczenia niebyły wolne od wszelkiéj przesady, i gdyby styl zwyczajnéj prozy nie zbliżał się bardziéj, niż w innych krajach, do stylu poetyckiego języka.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Żale nędzarza.

Dopókiż Boże, te znoje
Zsełać mi będziesz z Twéj ręki?
Otwórz niebieskie podwoje
I skończ raz przecie me męki.

Dziś każdy odemnie stroni!
Na pół umarły tu stoję.
Złote owoce jabłoni:
Cóż potém, kiedy nie moje!
Wieśniaka słodkie nadzieje
Uwieńcza żniwo obfite:
Jednak choć nędzarz łzy leje,
On ściska dłonie nie syte.
Tu grzmiącym rozbiegiem koni
Bogacz me jęki zagłusza;
Nad dolą łzy nie uroni,
Twardsza nad głazy ta dusza.
Synu! co jeszcze niedoli,
Lata ci uczuć nie dały,
Kiedy ci mrozy powoli
Krew w żyłach będą ścinały,
Kiedy wśród płaczu, kwilenia,
Zawołasz „ojcze daj chleba“
Któż wtedy moje cierpienia,
Wypowie, wysokie nieba?
Żadnéjż już nie ma nadziei?
O serca twardsze nad skały!
Sieroty w przykréj kolei
Czy ludźmi być już przestały.
O nakarm głodne sieroty,
Choć odrobiną z wieczerzy!
Lecz próżno wzywać do cnoty!
Kto w szczęściu, nędzy nie wierzy.

Dopókiż, Boże! te znoje
Zsełać mi będziesz z Twéj ręki?
Otwórz niebieskie podwoje
I skończ raz przecie me męki.

T. z S.

Nakładem i drukiem Ernesta Güntera w Lesznie. Red. Ciechański.)